

Falszywy „znak pokoju”

Paweł Milcarek

O*fferte vobis pacem* – tak w oryginale brzmi wezwanie, które w trakcie liturgii Kościoła może zostać podane od ołtarza przez kapłana lub diakona w stronę wiernych. Po polsku byłoby to: „Ofiarujcie sobie /przekażcie sobie/ pokój”. Polski przekład oficjalny oddaje to, mocno niezdarnie, słowami: „Przekażcie sobie znak pokoju!”. Gdy te słowa padną, wierni przekazują sobie pokój – konkretny gest nie jest określony, bo nie „znak” jest tu ważny – odnajdując twarze konkretnych braci i siostr stojących dookoła, zgromadzonych we wspólnocie zwołanej wspólną wiarą, udziałem w sakramencie; we wspólnocie, która przed chwilą przeproszała za swe winy i na różne sposoby wyznawała *Credo* Kościoła.

Wiele się zmieniło od czasów pierwszych chrześcijan (którzy odprawiali Eucharystię jedynie w zamkniętym gronie wiernych) i długie wieki wiary sprawiły, że wspólnota ta, wraz z jej najświętszą Tajemnicą Wiary, jest praktycznie otwarta dla każdego, kto przyjdzie, stanie wśród modlących się. Dlatego gdy nadejdzie w Mszy czas na przekazanie pokoju, włączony do niego zostanie bez wyróżniania także ten, kto ewentualnie znalazł się tutaj przypadkiem lub kto fizycznie wszedł do środka, lecz duchowo chce pozostać na zewnątrz tej wspólnoty i jej *Credo*. I więcej, gdy przyjdzie zakończenie, celebrans, także bez różnicy, udzieli wszystkim obecnym Bożego błogosławieństwa, nie bacząc na to, kto jest gotów je przyjąć. Do tego nie potrzeba żadnych dodatkowych wezwań, napomnień wygłaszanych do katolików na placach i rogach ulic.

To proste, to Boże. Co z tego robią twórcy kampanii „Przekażmy sobie znak pokoju”? Jest to kampania billboardowa przygotowana przez lobbystów homoseksualnych postulatów politycznych,

a wsparta przez kilka redakcji „katolicyzmu otwartego”. Na plakacie, który zawiera komunikat tej kampanii, mamy dwie dłonie w uścisku – jedną z tęczową opaską, a drugą z różańcem – oraz wspomniane słowa wyjęte z Mszy, wzywające do przekazania sobie znaku pokoju.

Do czego jesteśmy wzywani głosem tej kampanii, płynącym z billboardu, a nie od ołtarza? Czy – jak twierdzą jedni – do „zwykłego uścisku dłoni”? Chyba nie, skoro nie napisano: „Podajmy sobie dłonie”, lecz posłużono się cytatem z liturgii i sięgnięto przez to aż po gest religijny, liturgiczny, a nie zwykły *shake-hand*.

Twórcy kampanii nie chcą od nas taniego gestu na „dzień dobry”, który zasadniczo wymieniamy z każdym, kto wyciągnie rękę. Chcą od nas znaku.

Znaki mają swój sens i swoje konsekwencje. Ktoś, kto „przybije piątkę” na targu, być może nie wie jeszcze, że dla drugiej strony oznacza to „przybicie” transakcji. Znak został jednak dany, konsekwencje zostaną wyciągnięte: ten, kto dał znak, nie wytłumaczy się łatwo, że „chodziło tylko o podanie ręki”. Ten, komu da się znak, może czuć się oszukany, gdy odmówimy wyciągnięcia z tego konsekwencji.

Ale może czasami życie staje się teatrem, a jego „aktorzy” chętnie posługują się znakami różnoznacznymi, mieszają ich sensy i konwencje?

Czy nie tak jest ze „znakiem pokoju”, który obstalowali dla siebie i dla nas twórcy Kampanii Przeciw Homofobii i innych podobnych grup? Ten „znak pokoju” został wyjęty ze swojego miejsca i znaczenia, jak już przecież wyjmowano z własnego znaczenia słowa-znaki takie jak „nie lękajcie się” lub „największa jest miłość”, nadając im sensy jakże różne od ich własnych.

„Znak pokoju” z kampanii nie jest ani zwykłym uściśnięciem dłoni, ani mszalnym przekazaniem pokoju. Autorzy zaproponowali nam, katolikom, gest, do którego nawykliśmy w Mszy, ale ze swej strony opisali go symbolem, który czyni go czymś innym.

Poświęćmy chwilę uwagi symbolowi tej kampanii, czyli temu, co mówi do jej odbiorców oraz co pracuje w ich wyobraźni i myśli jako niezreflektowana perswazja. Do kogo należą dłonie w uścisku? Takiego pytania nie stawiamy przy przekazywaniu pokoju

w kościele, ponieważ wewnątrz wspólnoty eucharystycznej „nie ma już Żyda ani Greka, nie ma niewolnika ani wolnego, nie ma mężczyzny ani kobiety”, za to „wszyscy jedno w Jezusie Chrystusie”. Tymczasem symbol kampanii nie istnieje bez różnicy, którą podkreśla użytymi etykietami: chodzi w nim nie o spotkanie ludzi, lecz o spotkanie zdefiniowanych postaw.

Czy jedna z tych dłoni – rozumiemy, że wyciągnięta jakby ze strony organizatorów kampanii – to po prostu dłoń człowieka, który mierzy się w swoim życiu z „głęboko osadzonymi skłonnościami homoseksualnymi”, które są może dla niego „trudnym doświadczeniem”? Nie wygląda na to. Ta dłoń została napiętnowana tęczą opaską, będącą symbolem ruchu LGBT. Zatem tak naprawdę partnerem w uścisku dłoni na plakacie jest osoba manifestująca przynależność do tzw. „kultury gejowskiej”, czyli do kulturowego i politycznego ruchu homoseksualnego, domagającego się akceptacji dla swej „orientacji seksualnej”.

Dlaczego mamy uczestniczyć w tym utożsamieniu, które oczywiście jest wygodne organizatorom kampanii? Przecież zgoda na takie utożsamienie – homoseksualistów z „gejami”, a szacunku do każdej osoby z akceptacją dla „tęczy” – jest jedną z niedelikatności wobec osób o skłonnościach homoseksualnych, które wcale nie chcą być tak identyfikowane czy redukowane, a może właśnie na dłoni mają raczej różaniec niż wielokolorową opaskę-zaproszenie.

Nie wiem, czy takie było zamierzenie twórców przesłania kampanijnego, ale spotykają się w nim i zapewniają wzajemnie o pokoju nie ludzie dźwigający swój los, lecz dwa sztandary. Plakat kampanii proponuje nam „znak pokoju” nie człowieka z człowiekiem, lecz katolika z kimś, kto mówi nam w ten czy inny sposób: „jestem gejem i jestem z tego dumny”. To spotkanie religii z ideologią, a nie człowieka z człowiekiem, w ich człowieczeństwie i w Pokoju.

W tak wyreżyserowanym spotkaniu z manifestowaną samoakceptacją „gejowską” nie sposób nam, katolikom, ograniczyć się do odegrania roli, którą nam zaproponowano: bycia milczącym akceptantem. Tymczasem nie tylko na plakacie, ale i w materiałach przygotowanych w ramach kampanii, w tym i w wypowiedziach jej partnerów katolickich, nie ma informacji o pełnym nauczaniu katolickim w odniesieniu do homoseksualizmu.

Jeśli komuś trudno zobaczyć, na czym polega dokonane tu nadużycie, może spróbujemy wyobrazić sobie następne kampanie, w których „Tygodnik Powszechny”, „Znak”, „Więź” i „Kontakt” mogłyby się znaleźć, gdyby trzymały się zawsze tej samej logiki: dłoń opleciona różańcem ścisnęłaaby się np. z dłonią kibolarnarodowca z odpowiednimi opaskami, a w tle może białostocka katedra? Nie, jednak nie? Na pewno nie. Dlatego nie, ponieważ tak naprawdę wiemy wszyscy, że taki plakat pokazywałby – jak plakat kampanii „gejowskiej” – akceptujące spotkanie postaw, a nie spotkanie ludzi. W – wyreżyserowanym i manifestowanym medialnie, jak to w kampanii billboardowej – spotkaniu z postawą, którą Katechizm nazywa za Pismem i Tradycją „poważnym zepsuciem”, nie można zamknąć się w przesłaniu wygodnym dla tej postawy, lecz będącym półprawdą. Nie można uznać, że wśród czynków miłosierdzia ważniejszy jest „tonących poklepać”, niż „grzeszących napominać”. Trzeba – tak jak podpowiada Katechizm – połączyć „szacunek, współczucie i delikatność” (KKK 2358) wobec osób z sygnałem, że związane ze „skłonnościami homoseksualnymi” przejawy „w żadnym wypadku nie będą mogły zostać zaaprobowane” (KKK 2357).

To prawda, że niektórzy rzecznicy środowisk katolickich zaangażowanych w „gejowską” kampanię piszą teraz, że chcieli jedynie wyrazić elementarny szacunek do ludzi, bez podkreślania sprzeciwu wobec ich postawy. Być może niektórzy posunęliby się rzeczywiście do pełnej akceptacji całej nauki Katechizmu o homoseksualizmie, chociaż musimy się raczej tego domyślać.

Ktoś z tego środowiska objaśniał nam w ostatnich dniach, że przecież i Jan Paweł II ściskając rękę Fidela Castro, nie wyrażał tym samym akceptacji dla idei rewolucji kubańskiej. Dodajmy: nie wyrażał, nie jechał też na Kubę, by uścisnąć dłoń Comandante – a przede wszystkim: nie był niemową, nie wykorzystał swego czasu tylko na to, by – jak to mówiono zawsze w komunistycznych relacjach z nauczania papieskiego – „podkreślić wagę walki o pokój”. Nie, pamiętamy, jaką Papież miał niewyparzoną mowę, jak korzystając z zaproszeń dyktatorów, nie pozwalał im wyzyskać propagandowo swoich ludzkich gestów. Pamiętamy to również z czasów maskarady „pojednania narodowego”, organizowanej przez generała Jaruzelskiego – gdy Jan Paweł II nie pozwolił się

w to wpisać. Nie przypominały tego w ogóle wystąpienia katolickich partnerów homokampanii. Oni rzeczywiście jakby pojechali na Kubę jedynie po to, by Fidel mógł rozlepić na placach pocieszające zdjęcia, a generał Jaruzelski miał satysfakcję ze swojej wersji „pojednania”.

Analogie te – ze spotkań Papieża z komunistycznymi przywódcami – podaję nie tylko dlatego, że wcześniej użyto ich, dla obrony wyboru „katolików otwartych”, na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Jest w tym coś głębszego: istnieje przecież zastanawiające podobieństwo między obecną „otwartością” tych środowisk na udział w takich cudzych reżyseriach a niegdysiejszymi flirtami niektórych środowisk kato-laickich z ideologią marksizmu lub wręcz współdziałaniem w zwalczaniu „antykomunistycznego integralizmu”. Także kiedyś wystąpienia w komunistycznych rytuałach „dialogu” motywowano chrześcijańską otwartością, którą przypisywano raczej Janowi XXIII i „Więzi” niż „zamkniętemu” kardynałowi Wyszyńskiemu. Wówczas akty te bywały jednak, w warunkach zniewolenia i wątplych koncesji, podszyte nieszczęśliwą koniunkturalizmem lub wprost uzależnieniem finansowo-politycznym. Oczywiście dzisiaj, w warunkach wolności, trudno domyślać się tu jakiegokolwiek nieszczerości. Przez to odpowiedzialność jest być może nawet większa.

Słusznie mówi święty Benedykt w Regule, by „nie dawać fałszywego pokoju” (r. 4, w. 25). *Pacem falsam non dare*. A pokój może być dawany fałszywie nie tylko wtedy, gdy jest z gruntu nieszczery – ale także wtedy, gdy jest czymś różnoidalnym dla obu stron, właśnie „znakiem pokoju” o wymiennym znaczeniu, a nie prawdziwym pokojem. ■